



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



INDRI.

Wyspa Madagaskar, odróżnia się fauną od Afryki, z którą sąsiaduje. Ta różnica uwydatnia się głównie obecnością tamże czworonogich zwierząt o lisim pysku zwanych indri, zastępujących małpy tak pospolite w Afryce. Największy z nich przedstawiony na rycinie naszej indri, o krótkim ogonie, zwany od krajowców „człowiekiem

leśnym”, stojąc na tylnych łapach ma jeden metr wysokości. Czaszka jego trochę większa niżeli czaszka lisa. Znajduje się jeszcze na Madagaskarze osobliwy gatunek roślinożernego kota „cryptoproct”, gdy za wyjątkiem australijskich, wszystkie inne rodzaje kotów na całym świecie są mięsożerne.

Te osobliwości zoologiczne nadają wyspie wyjątkową cechę, wyróżniającą ją od innych krajów.

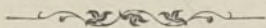
Ciekawem jest dla ludzi oddanych nauce, poznanie

się ze szczątkami zwierząt, poprzedzających zwierzęta istniejące tam obecnie.

W roku 1851 odkryto na Madagaskarze w pokładach ziemi bliższej formacji, olbrzymie jaja, mogące objąć ośm litrów, a obok nich szkielet ptaka, który prawdopodobnie jaja te znosił. Był on największy ze znanych dotąd, bo wysoki na trzy metry. W tych samych warstwach ziemi odkryto później szczątki hippopotama, odmiennego od rodzaju zamieszkującego Afrykę.

Niedawno odkopano tam znów czaszkę olbrzymiego, nieistniejącego gatunku lemura, którego przezwano magaladapisem madagaskarskim.

Magaladapis trzy razy wyższy był od orangutanga i goryla, choć odmiennie od nich powierzchowności. Przypuszczają, że żył w epoce stosunkowo niedawnej, i że był wygnany lub zjedzony przez pierwotnych mieszkańców wyspy.



W M A R C U.

Minęły zapusty, a dłuższe już dzionki,
Zwiastują wieść ziemi radosną.
Nad niwą zmarzniętą wzlatają skowronki,
Wraz z ludźmi stęsknione za wiosną.

Coś cieszy się szepcze, że świat się odświeży,
Choć pora tak ostra i głucha.
I lasy zimowej nie zdjęły odzieży,
I wichur jak dmuchał, tak dmucha.

Lecz słońce już raźniej przedziera obłoki,
Zkąd prądy cieplejsze nam płyną;
A w nagich gałęziach już krążą te soki,
Co pąki liściowe rozwina.

I tylko co patrzeć z uśmiechem radości,
Jak skrzydła nad martwe zbóż łany,
Zaszumi tłum znanych i miłych nam gości;
Kluczą gęsi, żorawi, bociany.

Tak, one już w drodze, już do nas z powrotem;
U kresu wędrówki wnet staną.
I wiejską drużynę ucieszą klekotem,
Zwiastując wiosenkę kochaną.

A kotki wierzbowe z pod wonnej szypułki,
Migocą ku słonku puchami;
I tam gdzieś daleko świegocą jaskółki:
Ze biedne już tęsknią za nami.

Więc chociaż wiatr groźny nas trwoży zawieją,
I całun śniegowy się trzyma,
Rad każdy powtarza krzepiony nadzieją:
— Już marzec, ej! pójdzie precz zima!

I tylko tak zmienny ten miesiąc przejściowy,
By z czuciem głębszego zachwytu,
Mógł człowiek ocenić strój wiosny godowy,
Strój z kwiecica i niebios błękitu.

E. L.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Dajno pokój swemu opowiadaniu! — przerwał Jerzy, krzywiąc się z obrzydzeniem. — Słyszałem już je i pamiętam wszystkie szczegóły.

— Gdyby je panicz widział na własne oczy, tak jak my, toby je zapamiętał jeszcze lepiej! — mruknął stary poszukiwacz złota, potrząsając głową.

— Wcale sobie tego nie życzę, — odparł Jerzy.

Doktor, słuchając tej rozmowy, mierzył czarnych podejrzliwym wzrokiem; trudno mu było uwiaryć, iż ci ludzie, tak spokojni i łagodni mieli, zapewne niejedną podobną zbrodnię na sumieniu. Na myśl tę nasz uczony doznał nieprzyjemnego ciśnienia w dolku, które minęło dopiero po zażyciu dwóch miuchów tabaki.

Czarni, pomimo niegrzecznej odprawy, postępowali ciągle za karawaną; kiedy nasi podróżni, zmęczeni niewygodnym schodzeniem z góry, zatrzymali się dla spożycia obiadu, cała ta czereda również rozłożyła się obozem o parę kroków od nich i natrętnie dopominała się o prowiant.

Dugan, rozgniewany tem, wydał rozkaz przepędzenia murzynów; Tomasz i Bob, którzy żywili rasową niechęć, jak wszyscy zresztą Australczycy, względem krajowców, ochotnie spełnili tę missyę. Kilkanaście uderzeń spicrutą i wystrzał z rewolweru w powietrze, rozproszyły w mgnieniu oka czarnych.

W parę minut potem całe pokolenie znikło, zabrawszy swą broń, kosze i głównię z rozpalonego ogniska.

— No, spodziewam się, że już nie powrócą! — rzekł Tomasz, uśmiechając się. Dobrze pan zrobił, pozbywając się tej hałastry, która objadłaby nas doszczętnie. Jeżeli czarni znajdują się w towarzystwie białego, wtedy sądzą, że obowiązkiem tegoż jest żywić ich za darmo i nie zrobić jednego kroku, aby zaspokoić głód własnym przemyślem.

— A przecież mieliśmy sobie własny przewodnika, — wtrącił Jerzy.

— Teraz jeszcze nie potrzebujemy go — odparł Dugan. Udamy się na borbobi, gdzie napewno znajdziemy jakiego murzyna, który zgodzi się z nami odbyć całą podróż.

— A gdzie będzie miała miejsce ich uroczystość?

— Na Mount Desolation (pustynnej górze), dzień drogi stąd. Sądzę, że i ty, doktorze, z przyjemnością przypatrzysz się temu ciekawemu obchodowi.

Halm kiwnął głową, znać jednak było po nim, że wolałby nie włączyć pomiędzy kannibalów, którzy mogą w nim widzieć tylko porządny kawał talgoro, t. j. mięsa ludzkiego.

Dzięki doświadczeniu Dugana, karawana znalazła doskonałą drogę w nizinach, zraszanych dopływami rzeki Flindersa i posuwała się w południowo zachodnim kierunku brzegiem jednego z nich, który przepływał tuż u stóp Mount Desolation.

Zachodnie stoki Dividing Range były łagodniejsze znacznie, aniżeli wschodnie i pokryte równie bujną roślinnością.

Doktor Halm, czując się już zupełnie prawie zdrowym na rękę, zaczął skwapliwie uganiać się za owadami, których pełno roiło się w pobliżu nadrzecznych drzew, pokrytych bujnem kwieciami!

Ażeby skuteczniej posługiwać się siatką, nasz entomolog zsiadł z wielbłąda na ziemię i szedł pieszo za karawaną, zatrzymując się co chwila, gdy dostrzegł coś godnego uwagi. Czasami nikał w zaroślach zupełnie i Jerzy lub Abel musieli go wołać.

— Zaraz, zaraz! — odpowiadał zwykle doktor swym cienkim głosem.

I w parę minut potem, spocony i zdyszany doganiał karawanę, aby włożyć do tymczasowego pudełka zdobyty okaz.

Stopniowo doktor zapalał się coraz bardziej do swych łowów i odłączał się co chwila od towarzyszy, już to dla rozkopania ziemi małą łopatką, celem szukania poczwarek, już to dla gruntowniejszych oględzin jakiego gnijącego pnia drzewnego, już to wreszcie w celu osiągnięcia jakiego motyla, który bujał sobie gdzie wysoko, zamiast grzecznie wpaść do siatki dla dobra nauki.

— Ależ, doktorze, napominał go nieraz Dugan — opóźniasz nasz pochód. Czyż nie mógłbyś odłożyć swoich poszukiwań do chwili, kiedy zatrzymany się na nocleg.

Niemiec przeproszał, obiecywał, że nie dopuści się już na przyszłość czegoś podobnego, ale niebawem znowu ulegał pokusie i pozostawał w tyle.

— Jeżeli pan zabłądzisz, to sam sobie będziesz winien! — rzekł w końcu podróżnik, zniecierpliwiony do najwyższego stopnia.

— Nie obawiam się o to, odparł entomolog; — karawana trzyma się przecie prawego brzegu rzeki; nie trudno więc byłoby mi ją odnaleźć.

— Ależ nie dogonisz nas pan! — odczywał się Abel.

— Oh! kiedy tak, to przesiądę się na konia, a Bob niechaj jedzie na moim wielbłądzie. Zgoda Bob?

Stary poszukiwacz złota nie miał przeciwko takiej zamianie i chętnie odstąpił doktorowi swojego wierzchowca.

Halm czuł się znacznie swobodniejszym na siodle, gdyż mógł z niego zeskoczyć w każdej chwili, w razie potrzeby. Upomniawszy więc Boba, żeby ten nie pogniótł mu czasem pudełek i nie połamał wiszących u poręczy krzesła przyrzędów, niezgrabnie wdrapał się na grzbiet podanego sobie konia. Przez całą godzinę szanowny entomolog jechał tuż za karawaną, wodząc na chybił trafił swoją siatką po okolicznych krzakach i przetrząsając jej wnętrze od czasu do czasu.

Widocznie jednak szczęście mu nie służyło, gdyż nie znajdował nic oprócz pospolitych much, któreby nie ozdobiły wcale jego zbiorów.

Abel, zauważywszy smętną minę entomologa, zbliżył się doń, ażeby trochę porozmawiać.

— Więc nie złapałeś nic ciekawego, doktorze? — zagadnął.

— Nie — odparł Halm, zaglądając znowu do siatki. — Alboż w ten sposób... Ah... jest... jest!... — krzyknął — co to? Cykada aurora... nie!... Jakiś inny gatunek nowy, niezany!

Z tymi słowy doktor starał się wydobyć z pośród fałd muślinu dużego, grubego owada, brzęczącego rozpaczliwie swymi delikatnymi skrzydełkami.

Cykada wymknęła się wszakże drżącym ze wzruszenia palcom uczonego, dosięgła drucianej obrączki i uleciała w powietrze, zanim doktor zdążył ją pochwycić.

Halm śledził ją przez chwilę osłupiałymi oczyma, poczem wydał okrzyk pełen zawiedzionej nadziei i gniewu.

— Trzeba być ostatnim niedołęgą, kretynem, osłem, ażeby wypuścić z ręki taki okaz! — zawołał, wymierzając sobie potężnego klapsa w łysinę.

Tymczasem cykada, zakreśliwszy szerokie koło po nad głową doktora, jak gdyby na urągowisko, poleciała ku temu samemu krzakowi, na którym ją schwytano i zniknęła wpośród jego liści.

Ujrawszy to, nasz uczonego zeskoczył z konia ze zdumiewającą, jak na niego, zręcznością i z siatką w ręku pobiegł w ślad za owadem.

— Ona jest tutaj! Poczekaj pan... nazwę się zwierzęciem, jeżeli jej nie znajde! — krzyczał, skradając się ostrożnie, aby nie spłoszyć zdobyczy... — Oh! właśnie odezwała się! Słyszałeś pan? Tak, wpadła pomiędzy te dwie gałązki, widziałem doskonale.

Abel zatrzymał swego wielbłąda, chcąc być świadkiem tryumfu doktora i śledził każdy ruch tego ostatniego.

Szanowny entomolog, zbliżywszy się do krzaka, wsadził nos pomiędzy liście i, powstrzymując oddech, upatrywał cykady. Nie dostrzegłszy jej na wysokości swego wzrostu, przykucnął, aby zbadać dobrze gałęzie, odchyłał palcami delikatnie każdy listek, czułgał się jak wąż, w głąb krzaku, nareszcie zniknął w nim zupełnie.

— No i cóż? — zagadnął Abel, którego te poszukiwania zaczynały niecierpliwie.

Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi; Halm obawiał się śnać odezwać; nieznaczny ruch liści wskazywał miejsce, gdzie się znajdował.

Nagle cykada zaćwierkała znowu, ale tym razem w grupie zarośli, odległej o kilkanaście kroków od miejsca, w którym nasz entomolog dokonywał poszukiwań.

— Uciekła już stąd! — zawołał doktor, wycofując się na czworakach z pod krzaka.

— Tak; — odparł Abel. — Jedźmy dalej, nie znajdziesz pan jej i tracisz tylko czas nadaremnie.

— Co? — zawołał Niemiec, zrywając się — więc miałbym wyrzec się możliwości schwytania owada, nowego zupełnie gatunku? Tak, nowego! Przyjrzałem mu się doskonale. To nie jest wcale cykada aurora, lecz coś podobnego do niej na pierwszy rzut oka. Słyszę go, aha! Więc to aż tam zawędrowałeś, kochanku!? Zobaczymy, czy cię nie znajde!

I doktor zarumieniony, z błyszczącymi oczyma, skierował się w stronę krzewów, gdzie od czasu do czasu odzywał się nieznanym owad, jakby wabiąc do siebie swego prześladowcę.

— Więc postanowiłeś pan szukać dalej? — zagadnął Abel.

— Tak, znajde go, choćby mi przyszło przejrzeć wszystkie po kolei listki! — odparł stanowczo Halm.

— Ależ karawana jest już stąd daleko.

— Dogonimy ją!

— Nie mam wcale ochoty pozostać tutaj, gdyż wiem, że będzie to zmarnowaniem czasu.

— Jak się panu podoba!

Otrzymałszy tę niedelikatną odpowiedź, Abel wzruszył ramionami i popędziwszy swego wielbłąda, odjechał, pozostawiając doktora, skradającego się ku krzakom, na które przeniosła się cykada.

W pół godziny potem, o 5-ej, doścignął karawanę, która posuwała się ciągle wzdłuż brzegu rzeki.

— Gdzież doktor? — zapytał Dugan, ujrawszy swego wychowańca samego.

— Szuka w zaroślach jakiegoś owada, który mu uciekł z siatki — odparł Australczyk, uśmiechając się.

— No, to i do jutra go nie znajdzie! — odezwał się Bob ironicznie.

— Prawdziwe utrapienie z tym Halmem! — westchnął Dugan — gdybyśmy chcieli pomagać mu w łapaniu owadów, to napewno i za rok nawet nie dotarlibyśmy do celu.

Karawana, nie chcąc pozostać zbyt daleko poza sobą Halmu, zwołnia nieco kroku; upłynęła jednak cała godzina i słońce poczynało chylić się ku widnokręgowi, a doktor nie wracał.

(d. c. n.)

SZPITAL DZIECINNY.

Dwadzieścia pięć lat minęło w roku zeszłym, od czasu gdy ludzie miłośni założyli przedstawiony na rycinie naszej szpital, dla dzieci, które nie miały dotąd podobnego przytułku w Warszawie. Odtąd dzieci ubogie dotknięte różnymi chorobami, a niemogące się leczyć w domu, znajdują tu bezpieczne schronienie, gdzie pod opieką Sióstr Miłosierdzia powracają do zdrowia.

Opłata jest bardzo niewielka, że i tej wszakże biedni ludzie niejednokrotnie uiścić nie mogą, więc w podobnych

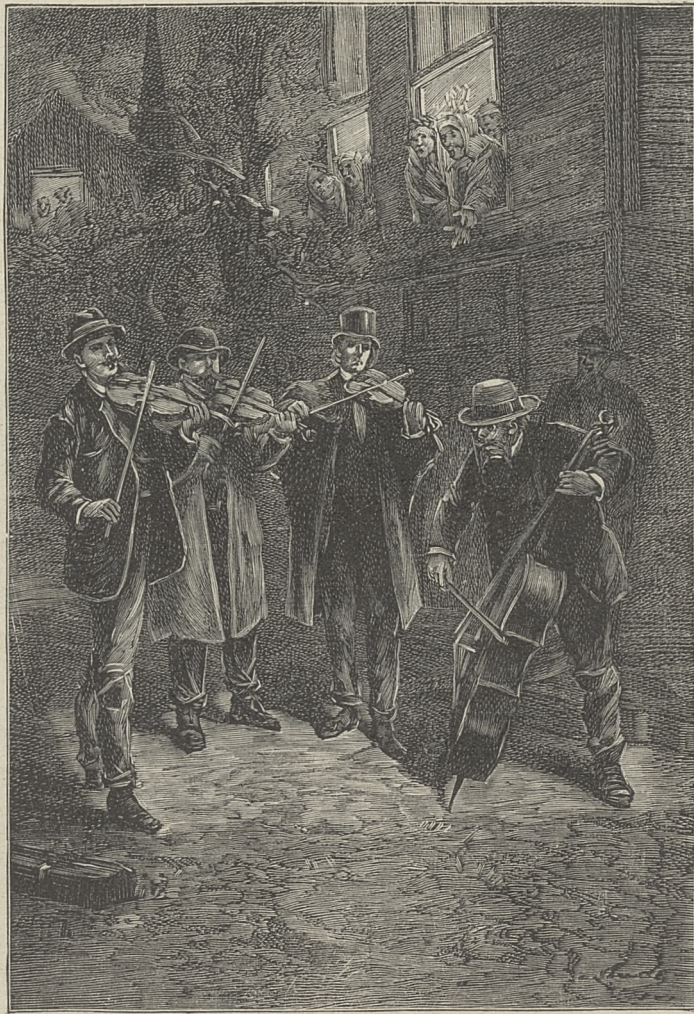
GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

To też gdy po kilkunastu miesiącach ujrano babułę schodzącą z owych gór i podpierającą się zwykłym kosztorem



Zabrzmiały znów struny, łącząc się w dysharmonię okropną... (str. 87).

użytku, że zaś szpital niema odpowiednich funduszków aby zakupować nowe, przeto Siostry Miłosierdzia z wdzięcznością przyjmują składane na ich ręce stare ubrania i o nie proszą. My też chętnie podejmujemy się pośrednictwa, w doręczaniu im wszelkich podobnego rodzaju przesyłek. Pożądane są tam również stare zabawki, bo dla chorych dzieci są one zawsze miłą rozrywką, choćby nawet były zepsute.

i śpiewającą jakąś pieśń pobożną, wszyscy nie mogli wyjść z podziwienia.

— Trzyma z dyablem, niechybnie z nim trzyma! — powtarzała Kilianowa, przeświadczona teraz zupełnie o prawdziwości swoich podejrzeń.

I przeżegnała się wzdychając.

— Oby tylko zła nam jakiego nie naprowadziła!

W ogóle babułę miano już za straconą. Pobożne niewiasty które ją podejrzewały o stosunki z nieczystą siłą, wyszeptaly jednak modlitwę za jej duszę, a rybacy w drugiej

już jesieni po zniknięciu babuli zamierzali nieopodal od jej chaty postawić krzyż, mówiąc:

— Krzyż wszelkie zło odpędzi.

Chatę zaś nietkniętą zostawili.

Aż tu babula jednego jesiennego ranka zjawiła się, i to jakaś odmłodzona i rzeźka, jakby jej przynajmniej lat dziesięć ubyło.

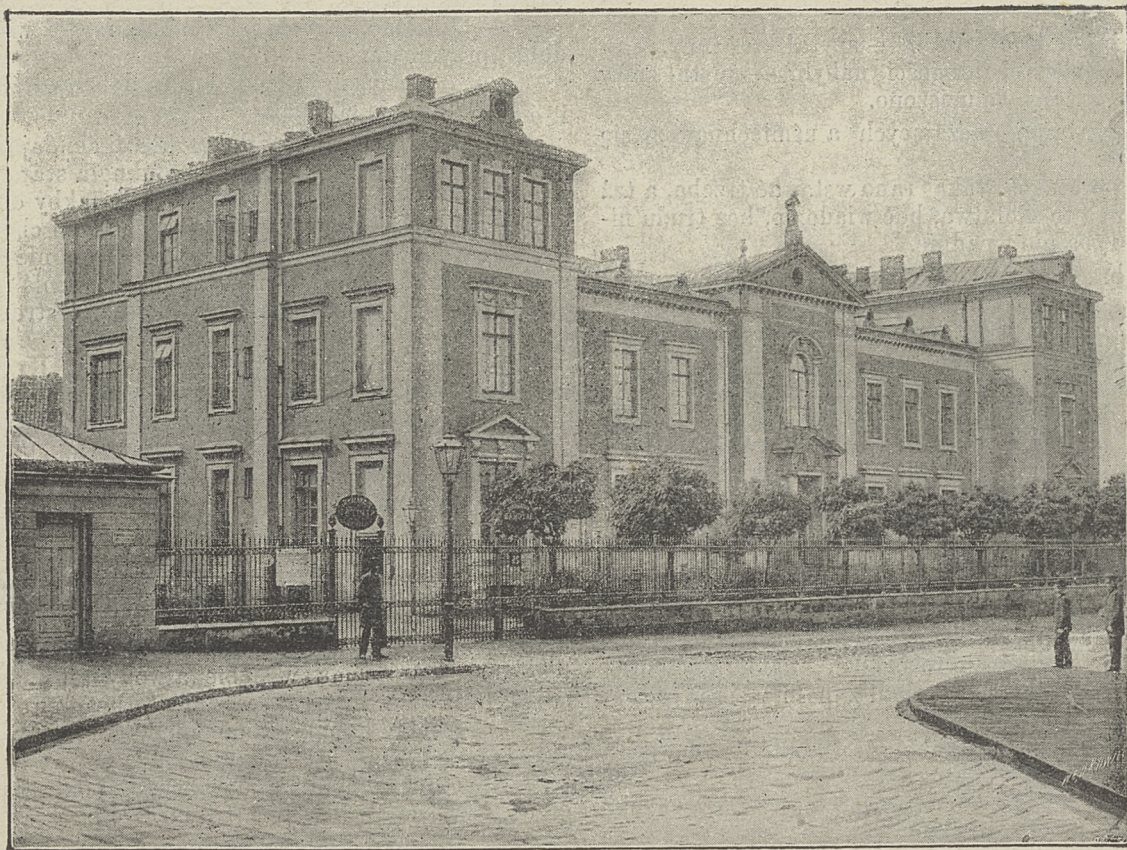
Jakiś strach przeleciał wśród ciemnych, zabobonnych rybaków. Ciekawość jednak przemogła. Obstąpiono ją dookoła i obrzucono pytaniami.

pojeziorku, każda nowa osobistość stanowi niezwykle wypadek.

Zresztą babulę wszyscy lubili, szanowali; bali się teraz nawet. Ongi każdemu umiała dać dobrą radę, biednego, choć sama była ubogą, nigdy bez datku od progu swego nie odprawiała. Wprędce więc wieść się rozeszła o jej powrocie, nie myślano już teraz tyle o czarach i pokrewieństwie z dyabłem, lecz podawano sobie z ust do ust szeptem:

— Zwaryowała!

Lub wyraźnym gestem pokazywano na czoło.



Szpital dziecinny przy ulicy Aleksandrya w Warszawie.

— Chodziliście na Dyablą górę? — zapytał z powagą Anzelm.

— Dyabli z góry uciekli a człek na niej zamieszkał — odrzekła babula wymijająco, zakreślając wielki krąg kosturem trzymanym w ręku.

Anzelm otworzył z podziwu usta i wpatrzył się ciekawie w babulę.

— A gdzieście byli babulo? — zapytał Kilian.

— Kędy nędza o zręb skały zęby sobie łamie, a ludzi doścignąć nie może! — rzekła babula.

I usiadłszy na przyźbie swej chaty, wpatrzyła się w pogodną toń jeziora.

Anzelmowa zaś pociągnęła męża za rękaw, pokazała ręką na czoło, a westchnąwszy przeżegnała się pobożnie. Ludzi tymczasem zebrało się coraz więcej, boć na odosobnionem

— Rozum jej się od wielkiej żalości pomieszał! — mówiły wdychając kobiety.

— Za Bogumem?

— Za Bogumem — powtarzano.

— Ba, i z wielkiego obłąkania, toć bez mała czternaście miesięcy jej nie było.

— Błąkała się Bóg wie gdzie, i głodu i chłodu nieraz pewnie zaznała — mówiono.

— Nie wygląda zbiedzona! — rzucił ktoś z tłumu.

— A nie!

— Jak mi Bóg miły nie! — powtarzano, skupiając się około przybyłej.

Wszystko zda się co żyło, biegło teraz ku hacie babuli. Matki z dziećmi na ręku, dzieci starsze trzymając jeszcze łyżki w ręku, wyszły nie dojadłszy porannej strawy, mniej

śmiało trzymały się spódnicy matek, rybacy porzucili rozpozczęty połów i spieszyli aby posłuchać, co babula rozpowiada. Każda z niewiast przyniosła starej kawałek suszonej ryby lub podplomyk. Najpierwsza, skąpa zwykle Kilianowa, wystąpiła z datkiem, mówiąc:

— Nie zawadzi ją udobruchać choćby i ze złem trzymała.

— Nie zawadzi! nie zawadzi — przyświadczały inne.

Babula przyjmowała dary, składała je przy sobie na przyźbie, lecz nie zabierała się do ich spożycia.

— Nie głodniście? — spytała Guta, przysiadłszy u jej kolan.

— Głód daleko poleciał, a jak człowiekowi w duszy błogo, to i we wnętrzościach nie ściska.

— A cóż wam takiego błogiego — zapytał Anzelm, siadając nie bez pewnej trwogi przy starej.

— Ho, ho, mój sąsiedzie, błogości takiej człek sobie sam nie daje, a ona schodzi do duszy jako ranna zorza i słonko niebieskie.

— A gdzieżecie to chadzali? — spytał ktoś inny.

— A gdzieżecie tej błogości nabyli? — spytał znów Anzelm, dając znak żeby się uciszono.

Babula spojrziała po otaczających a uśmiechnąwszy się dobrotnliwie, rzekła:

— Hej, hej, po błogość taką rano wstawać trzeba, a też iść daleko, a i droga to niełatwa, boć wiadomo, bez trudu nikomu w więcierz ryba nie wpadnie.

— No, dobrze, ale gdzieżecie chodzili? — przerwał Kilian.

Ale babula nie zwróciła nawet na jego słowa uwagi, tylko mówiła dalej:

— Trzeba zaś też patrzeć a dobrze, a takich, którzy dobrze chcą i ku dobremu prowadzą źle nie sądzić. Boć na wysokich górach mieszkają tacy, co wciąż pracują, a jako ludzie zasłużą sobie, to im pokażą drogę do wielkich bogactw, co tam w głębi gór jako nieprzebrane źródło się znajdują. Oj, góryc to wielkie, a nie darmo one tak stoją! nie darmo! oho, nie darmo! jeno ludzie patrzeć na nie nie umieją, a to co Najwyższy złożył w nich wnętrza, to sobie za dziwowisko uważają!

Babula mówiła tak chwilę jeszcze, tłum wzdychał, kiwał głową i począł się wreszcie rozchodzić, nabierając coraz większego przeświadczenia, że babuli zupełnie się w głowie pomieszało.

Szeptano jednak między sobą, że babulę trzeba mieć w opiece.

— Ba, toć ją żywić i opatrywać potrzeba — rzekł Anzelm, idąc na czele całego tłumu.

— A juści, juści — przyświadczyła Anzelmowa za mężem, toć wiadomo, że tacy, co im się rozum pomiesza mają łaskę Boga.

— A juści, a juści — westchnęły kobiety.

— Oj, oj, byleby tylko i zła jakiego nie sprowadziła — rzekł Kilian, który tyle się nasłuchał od żony, że teraz naprawdę począł obawiać się babuli.

— Boć to Bóg wie gdzie się włóczyła, widziano ją pod samym szczytem Diabłej góry; może była na niej?... tam przecie człek własnymi siłami nie wejdzie — dodał.

— Ech, co tam zaś sobie uważacie sąsiedzie — odparł Anzelm, gdy inni z pootwieranymi ustami słuchali mowy Kiliana, a niejednen na wspomnienie „złego” spluwał za siebie w zabobonnej trwodze.

Cisza się też zrobiła wśród tłumu, gdy nagle zdyszany biegł Krystyan, wołając już z daleka:

— Gdzie babula, gdzie?

Był on na wysepce św. Bartłomieja i pilnował wraz z innymi zastawionych przy brzegu sieci. Zostawił teraz czółno przy brzegu i biegł ile miał siły.

— Babulo, babulo, a Bogum? — pytał przypadłszy do kolan starej.

— Bogum, Bogum! och, mój chłopiec jedyny, mój sokolik ukochany — rzekła babula jakby się budząc z uspienia.

— Gdzież on jest, gdzie? — pytał natarczywie Krystyan.

— Chodźcie oh chodźcie w jasnościach, po wysokich górach, po niedostępnych rozpadlinach, po skałach jako orzeł szybuje, biedzie zęby wybija, z nędzą się mocuje a szuka skarbów; a gdy znajdzie kogo, co mu w pracy pomoże, zejdzcie i ludziom te skarby otworzy.

Krystyan słuchał ciekawie słów babuli, ale zrozumieć ich nie mógł, patrzył więc na nią, aż go jeden z rówieśników trącił i pokazując na czoło, dawał do zrozumienia, że babuli w głowie się pomieszało. Gryp zaś zawołał:

— A czybyście mnie babulo za pomocnika waszemu Bogumowi nie naraili?

— Oj, mógłbyś, mógłbyś i ty z twojemi silnemi rękoma pomagać; boć każdy kto jeno na tym świecie żyje, darmo jeść chleba nie powinien — rzekła babula.

— Hej? a wam tak naskładano, jakby na odpuście — odparł chłopak.

— Złożono, to woła ich, babula im też wieść dobrą, oj dobrą przyniosła.

— A pokażcie ją jeno, jak ta dobra wieść wygląda? — przekomarzał się chłopak.

— Nie takim jak ty dobre wieści się dają, boć u ciebie język miele ale ręce próżnują — ofuknęła stara.

— Zapracuj na nią! — mruknęła jakby do siebie.

— Oh, toć będę za waszym Bogumem choćby te jasności rozgarniał, żeby go nie oslepiły a łbem nie wpadł do wody, rybom na uciechę! — odgryzł się żartowniś i przestępując z nogi na nogę, przyglądał się ze wszech stron babuli, wykrzywiając się przytem pociesznie.

— Daj spokój Gryp — zgromił go Krystyan, który przysiadłszy u nog starej, patrzył na nią smutnie.

— Nie oslepią go, nie oslepią mego chłopaka żadne jasności, a też nie ryby jeno ludzie będą mieli z niego pociechę! ludzie, co się ciężkiej pracy mają — mówiła babula, nie zwracając uwagi na Grypa.

— Więc Bogum żyje! — podchwycił Krystyan.

— Żyje, a no do czasu go nie widać.

— A kiedy przyjdzie? — pytał ciekawie Krystyan.

— Kiedy przyjdzie? Kiedy? Jak nędza wszystkie połamie sobie zęby, ze skały gorące wytryśnie źródło, a ludzie tę jego gorącość wezmą w siebie a wody tej pić się nauczą — odrzekła babula, zataczając znów w krąg swoim kosturzem.

— I kiedy babuli rozum napowrót do głowy wskoczy! — odezwał się Gryp.

Stara popatrzyła na mówiącego, pokiwała głową i pogładziwszy jasne włosy Krystyana, rzekła:

— Przyjdzie, przyjdzie Bogum, złoto moje i ciebie weźmie, boć ty dobry chłopak.

I wstawszy, wyciągnęła obie dłonie ku góróm skąpanym teraz w jasności słońca, i nie już nie mówiąc, odjęła drąg podpierający drzwi chaty, pchnęła i weszła spokojnie jak wczoraj wyszła.

— Oj, Krystyan strzeż się, babula cię porwie i wrzuci żywcem do jeziora, albo zaniecie na Dyablą górę, bo cię strasznie jakoś umiłowala! — zawołał Gryp, wyszczerzając białe zęby.

— To pójdę! — odciał się Krystyan, i powoli poszedł do pozostawionego czółna.

— Hej, już mu babula urok rzuciła! — zawołał Gryp — oj, żebyć mnie sobie nie upodobała, jeszczeby mnie do ciągnięcia sieci lub innej jakiej roboty zaprzęgła!

I przeciągnąwszy leniwie krzepkie ręce nad głową, wziął zostawioną przez babulę wędzoną rybę, a oglądając się dokoła, rzucił się wreszcie pod drzewo, i jedząc bębnił nogami po zielonej, zroszonej jesienną rosą murawie.

(d. c. u)



Planety świecące obecnie.

(Odpowiedź na zapytanie).

W godzinach wieczornych obecnie świecą na niebie dwie planety, Jowisz i Mars. Mars, o którym pisaliśmy, gdy jaśniał najwyższym swym blaskiem, świeci obecnie znacznie już słabiej, łatwo go jednak rozpoznać można, znajduje się bowiem bardzo blisko Plejad, które stanowią grupę gwiazdek drobnych, tworzących jakby jasny obłoczek, powszechnie znany. Po drugiej stronie Plejad, na wschód względem nich i w większej odległości, znajduje się Jowisz, którego od razu dostrzeżemy dla silnego jego blasku, świeci bowiem jaśniej aniżeli którakolwiek gwiazda stała na niebie. W pobliżu jego znajduje się wszakże kilka gwiazd pierwszej wielkości, a mianowicie Aldebaran w gwiazdozbiórze Byka, błyszczącej światłem czerwonym; Kastor i Polluks, dwie prawie jednakiej jasności gwiazdy i blisko siebie położone, które wraz z sąsiednimi tworzą gwiazdozbiór Bliźniąt; znajdują się one wieczorem w pobliżu zenitu, na północ zaś względem nich i względem Byka napotykamy inną jeszcze gwiazdę pierwszej wielkości, zwaną Kozą, a która należy do gwiazdozbioru Woźnicy. W sąsiedztwie również Byka i Bliźniąt ale względem nich w stronie południowo zachodniej, uderza wzrok nasz gwiazdozbiór Oriona, najrozleglejszy ze wszystkich konstelacji niebieskich, a zawierający również kilka gwiazd bardzo jasnych. Na południo-wschód względem niego, ale już dosyć blisko poziomu, znajduje się gwiazdozbiór Psa Wielkiego z najjaśniejszą ze wszystkich gwiazd stałych, z Syryuszem; wyżej na niebie, między Syryuszem a Bliźniętami znajdujemy jedną jeszcze gwiazdę pierwszej wielkości, Procyona, który należy do gwiazdozbioru Psa Małego. W kwietniu Oriona i gwiazd sąsiednich widzieć już nie będziemy mogli, zachodzić będą już bowiem wcześniej, za dnia jeszcze. Gwiazdy stałe nie zmieniają wprawdzie miejsca swego na niebie, ale słońce przesuwając się między niemi, nie możemy zaś widzieć gwiazd, które są w pobliżu słońca, gdyż nikną na niebie, promieniami bryły słonecznej rozjaśnionem. Ztąd to pochodzi, że w różnych porach roku dostrzegamy na niebie różne gwiazdy, inne w lecie aniżeli w zimie, chociaż one położenia swego nie zmieniają, tak jak planety. Można też obecnie widzieć na niebie Wenerę; jest ona teraz gwiazdą wieczorną, ukazując się na zachodniej stronie nieba wkrótce po zachodzie słońca, sama zaś zachodzi o godzinie 8, a w końcu marca dopiero o godzinie 9, widzieć ją zatem można przez dwie blisko godziny, w miejscu oczywiście, gdzie widoku na zachód nie zakrywają nam domy.

Dnia 3 marca księżyc był w pobliżu Marsa, a dnia 5 już w pobliżu Jowisza; kto więc na położenie to księżycy uwagę zwrócił przekonał się, że księżyc w drodze swej dokoła ziemi przesuwając się od zachodu ku wschodowi, co zresztą dostrzedz można zawsze, jeżeli w ciągu kilku po sobie następujących nocy porównywamy położenie księżycy z położeniem gwiazd sąsiednich. Dnia 11 marca, podczas pełni, będzie księżyc w położeniu takim, że wkroczy w cień przez ziemię rzucony, będziemy więc mieli zaćmienie całkowite księżycy. Kto wszakże obserwować je pragnie, winien dnia tego wstać bardzo rano; w obszar bowiem cienia wejdzie księżyc o godzinie 3 minut 18 rano, a zaćmienie całkowite rozpocznie się o godzinie 4 minut 15, ukończy się zaś o godzinie 5 minut 3; końca zaćmienia widzieć nie będziemy, księżyc bowiem znajdzie dla nas, czyli zanurzy się pod nasz poziom, zanim się zupełnie z cienia wynurzy.

St. Kramsztyk.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Lecz biedni artyści mogli wystukać wszystkie możliwe taktę z równym rezultatem. Ani jedne drzwi, ani jedno okno nie uchyliło się nawet, mimo, że obeszlą już tak z dwadzieścia domów.

— Omyliliśmy się — twierdzi Yvernes — to nie jest wieś, to musi być cmentarz, gdzie wszyscy śpią snem wiecznym. Vox clamantis in deserto.

— Amen! — odpowiada „Jego Exelencya” poważnym głosem katedralnego śpiewaka.

Lecz cóż teraz pozostaje wśród tej grobowej ciszy? Czy iść dalej do San-Diego, ależ wszyscy upadają już ze zmęczenia i głodu, — a następnie w jaką zwrócić się stronę bez przewodnika wśród nocy ciemnej... Czy szukać innej wsi? ale jeżeli można dać wiarę opowiadaniu woźnicy, niema żadnej innej osady w pobliżu, zresztą naraziliby się tylko na nowe zabłąkanie. Pozostaje jedynie czekać brzasku dnia, choć nie będzie to rzeczą łatwą, bo jeszcze kilka godzin do wschodu słońca, a ciężkie chmury pokrywające niebo, grożą ładą chwila ulewnym deszczem. Przyznać trzeba, że taka ostateczność nie może być w guście najwięcej ekscentrycznego artysty.

W tej chwili Ponchard objawia pomysł nowy; wprowadzić u niego o pomysły nie trudno, ma ich zawsze moc wielką w pogotowiu, ale tym razem projekt zyskuje od razu sankcyę nawet ze strony rozważnego zawsze Francolin'a.

— Przyjaciele — mówi wesół skrzypek — dla czego nie mielibyśmy spróbować i teraz sposobu, który nam tak świetnie dał rezultaty wobec napastującego niedźwiedzia? Starajmy się obudzić wieśniaków potężnym koncertem, w którym nie pożałujemy ani „forte” ani „allegro”!

— Można spróbować — odpowiada Francolin, zwracając się do Sebastjana Vaillant, jakby o potwierdzenie tego zdania, lecz ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegł, że tenże ma już swą wiolonczelę przysposobioną do grania. Pospiesznie wszyscy poszli za przykładem dyrektora i stanęli gotowi naśladować go, aż do ostatecznych granic sztuki.

— Kwartet „si bemol Onslow'a”! — komenderuje wiolonczelista.

Dobrze to znana muzyka naszym artystom, obejdą się bez nut, a jako doskonali mistrze i w ciemności umieją prowadzić smyczkiem po strunach swych instrumentów. Niebawem przestrzeń cicha i pusta napełniła się cudowną harmonią tonów. Rzecz dziwna, może nigdy dotąd nasz kwartet, choćby przed najliczniej zgromadzonymi słuchaczami, nie grał z taką werwą i z takim uczuciem. Czyż jest ludzka istota zdolna oprzeć się urokowi tej pieśni? Gdyby to miejsce było rzeczywiście cmentarzem, jak to zauważył Yvernes, jeszcze bodaj szkielety, podniosłyby się z głębin ziemi, by bić brawo i dziękować za taką ucztę tonów.

A jednak domy w Freschal pozostają zamknięte, mieszkający ich ani myśląc dać jakikolwiek znak życia i w ciszy zupełnej rozbrzmiewa wspaniały finał kwartetu.

— A więc to tak! — woła wściekły ze złości Sebastjan — wam, zda się, potrzeba „jak waszym niedźwiedzom, hałaśliwych tylko dyssonansów! Rozpoczynajmy więc to samo raz jeszcze, ale ty Yvernesie graj z tonu *re*, a Ponchard niech bierze ton *sol*, ja pozostanę w *si bemol*. A teraz z całych sił!!

Zabrzmiały znów struny instrumentów, łącząc się tym razem w dysharmonię okropną, rozdzierającą uszy. Zdawa-

łoby się, że to jakaś symfonia Wagnera grana całkiem na odwrót. Czego jednak nie dokazała skończona w swem pięknie muzyka, to wywołały odrazu te wstępnie fałszywe wrzaski. Wioska poczyną się budzić, kilka kobiet spiesźnie i z widocznym zajęciem otwiera okna. Więc żyją tu ludzie zdolni słyszeć, a nawet słuchać?..

— Zdaje mi się, że mają zamiar rzucić nam jabłek — mówi Ponchard w czasie przypadającej pauzy, .. bo mimo dyssonansów takt jest ściśle zachowany.

— Tem lepiej, zjemy je z gustem — odpowiada praktyczny Francolin. Na znak dyrektora rozpoczyna się druga część koncertu. Powodzenie jest zupełne, bo gdy wreszcie zabrzmiał ostatni takt w czterech różnych tonach, mieszkańcy Freschal nie rzucają grającym jabłek, ale zagłuszają ich wprost gwałtownym biciem w dłonie i krzykliwymi wrzaskami podziwu i uznania. Niema żadnej wątpliwości, że uszy tych poczciwców nie słyszały dotąd równie pięknej muzyki, to też wnosząc z ich zapału, rzeczą jest oczywiście, iż już teraz wszystkie drzwi, wszystkich domów otworzą się gościnnie dla takich artystów.

Tymczasem, gdy jeszcze te tony napełniały powietrze dziwną swą dysharmonią, nowy jakiś słuchacz przybył na miejsce tego szczególnego koncertu.

Osobistość ta, zeszedłszy z wozu o motorze elektrycznym, stanęła zdala na zakręcie drogi. Jest to mężczyzna postawy wysokiej i pełnej, o ile można zauważyć wśród cieniów nocy. W chwili gdy Paryżanie pytają się wzajemnie, czy z kolei, gdy okna się zamkną, drzwi domów zechcą się dla nich otworzyć, nowoprzybyły zbliża się ku nim i poprawną mową Yankeesów przemawia tonem uprzejmym:

— Dyletantem tylko jestem panowie, ale za szczęśliwego się uznaję, że miałem zaszczyt przyklasnąć grze waszej.

— I to w czasie ostatnio granego kawałka — odpowiada ironicznie Ponchard.

— Nie panie, byłem tu już od czasu pierwszego numeru, i wyznaję, że rzadko zdarzyło mi się słyszeć ten kwartet Onslowa wykonywany z równym talentem.

Osobistość ta, musi być niezłym znawcą — myślą sobie artyści, a Sebastian występując w swej roli dyrektora, odpowiada:

— Miło nam nad wyraz, słyszeć pochwałę z ust pana, i jeżeli drugi numer przykro drażnił jego uszy, to...

— Panie — przerywa nieznajomy — nie słyszałem nigdy muzyki tak fałszywej, oddanej z taką perfekcją. Domyślałem się też celu, w jakim panowie zgodzili się na podobne wykonanie; ale jeżeli tu, jak widzę, cel ten chybił zupełnie, bo poczciwi mieszkańcy Freschal błogo znowu zasypiają, to pozwólcie bym ja wam ofiarowałam...

— Gościnnie przyjęcie u siebie? — pyta niespokojnie Francolin.

— Tak jest, panie, proszę najuprzejmiej do mego domu. Pewny też jestem, że nie mylę się bardzo, gdy powitam w panach sławny na całą Amerykę „Koncertujący kwartet”?

— Słowa pańskie, są nam nad wyraz miłe odpowiada Francolin — a tak uprzejmie ofiarowaną gościnność gdzież znaleźć możemy?

— Nie dalej jak o dwie mile stąd...

— Czy to na wsi, panie?

— Nie, w mieście.

— Jestże to jakie większe miasto?

— Bezwątpienia...

— Za pozwoleniem, lecz objaśniono nas, że na całą tę okolicę nie znajdziemy innego miasta prócz San Diego.

— Jest to pomyłka, której nie umiem sobie wytłumażyć.

— Pomyłka? — pyta Francolin.

— Zapewniam panów, i gdy zechcecie mi towarzyszyć, przyrzekam wam przyjęcie godne artystów waszej miary.

— Zdaje mi się, że nie pozostaje nam nic innego nad przyjęcie tego zaproszenia — zauważył Yvernes półgłosem.

— W zupełności podzielam twoje zdanie — odpowiada Ponchard.

— Chwilę jeszcze, chwilę jedną — woła Sebastian — nie uprzedzajcie decyzji dyrektora!

— Cóż to znaczy? — pyta Amerykanin zaniepokojony.

— To znaczy, że jesteśmy oczekiwani w San Diego, gdzie zobowiązaliśmy się dać całą seryę poranków muzycznych, z których pierwszy zapowiedziany jest na niedzielę, to znaczy na pojutrze.

— O - o - o! — przeciągłym głosem, w którym wyraźnie odczuwa się niezadowolenie, odzywa się nieznajomy. Niebawem jednak, w tonie poprzedniej rozmowy dodaje: Zdaje mi się, nawet mam pewność, że to w niczem nie przeszkodzi zamiarom pańskim. Dzień jeden wystarczy do zwiedzenia naszego miasta, które bądź co bądź zasługuje na zaciekawienie, a ja z mej strony przyrzekam odstawić panów do najbliższej stacyi kolei tak, abyście zdążyli do San Diego na oznaczoną godzinę.

Zaprawdę, ofiara taka zbyt nęci, i nazbyt jest pożądana dla naszego kwartetu, któremu tak niespodziewanie zabłysła nadzieja spędzenia nocy ciepło i wygodnie, jeżeli już nie biorą pod uwagę względów szczególnych jakie im przyrzeka nieznana ta osobistość.

— A więc zgoda na mój projekt, nieprawda? — nalegał dalej przybyły.

— I owszem, w tych warunkach przyjmujemy chętnie — odpowiada Sebastian, któremu zmęczenie i głód dokuczało już dostatecznie, aby mógł lekkomyślnie odrzucać podobnie nęcące zaproszenie.

— Zatem jedźmy bez straty czasu; w dwadzieścia minut stajemy na miejscu, i... przekonany jestem, że będziecie mi panowie wdzięczni za to małe zboczenie z drogi.

Obojętni już na dziwne zachowanie się mieszkańców Freschalu, którzy zaraz po skończonym koncercie zamknęli na nowo starannie okna i najspokojniej oddali się wypoczynkowi, czterej Paryżanie i nieznajomy podążyli w kierunku pojazdu oczekującego swego właściciela.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Indri (z drzew).—W marcu, wiersz p. E. L. W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Szpital dziecienny (z drzew). Górskie zamczysko, opowiadanie z XV wieku p. Zuzannę Morawską. — Planety świecące obecnie (odpowiedź na zapytanie) p. St. Kramsztyka. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Zadanie konkursowe z nagrodą dla małych dzieci. — Wieszcza lalek p. V. Cairo. — Łamigłówka, wierszyk p. H. B. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-ss Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.

Zadanie konkursowe z nagrodą dla młodszych dzieci.

Zawsze o tej porze Redakcja podawała swym małym czytelnikom konkurs kaligrafii; w tym roku chcąc zrobić im przyjemność, a zarazem mieć próbę, jak nietylko ładnie pisać, ale też myśleć i czuć umieją, stawia im zajmujący i miły temat do opracowania.

Oto niech każdy wyobrazi sobie, że to co opowiada ją w bajkach o cudownych wróżkach, jest na chwilę rzeczywistością, i że ta potężna, a dobra pani zjawia się przed nim ze swą czarodziejską laseczką w ręku i mówi: „Ponieważ jesteś grzecznym i pilnym, chcę ci dać dowód mej łaskowości. Pomyśl więc, czego sobie najwięcej życzysz, a wszystko spełni ci się natychmiast. Pamiętaj

jednak, że jedno tylko możesz mieć życzenie, o jeden tylko dar mej laseczki prosić możesz!”

Prawda, że każdemu z czytelników przyjemnie będzie opisać, coby w takim razie odpowiedział łaskawej tej wróżce, o co prosiłby ją przedewszystkiem? To też nie wątpimy, że panienki i chłopcy do lat 10-ciu, którzy czytają „Wieczory”, pospieszą wszyscy, by wziąć udział w tym konkursie. Nadmieniamy jeszcze tylko, że przy odpowiedziach trzeba koniecznie obok pseudonimu do druku, napisać wyraźnie prawdziwe nazwisko, oraz lata i adres dokładny. Prace konkursowe przyjmowane będą do końca kwietnia 1895 b. r., a za najlepsze Redakcja przeznacza nagrody.

A więc zwawo do dzieła mali czytelnicy „Dodatku”!



WIESZCZKA LALEK.

Halinę spotkała dziś radość wielka.

Skończyła właśnie ośm lat, a oprócz wielu upominków, które dostała od babci, dziadzi i rodziców, tatuś oświadczył jej przy obiedzie, że ma już kupione bilety do teatru na „Wieszczkę lalek”.

— Co za szczęście! W teatrze nie była jeszcze nigdy w życiu, a o „Wieszczce lalek” słyszała tyle cudów od swoich małych przyjaciółek, że ujrzenie było oddaną jej marzeniem. Aż oto dzisiaj, ten kochany tatuś pamiętał i o tem; szkoda tylko doprawdy, że zapowiedział to tak późno, bo byłaby wołała cieszyć się myślą parę dni naprzód.

Nigdy chyba nie ubrała się w swoją białą sukienkę tak prędko jak dzisiaj. Przy czesaniu, podczas gdy mama rozczesywała długie, ciemne jej loczki, nie poruszyła się niecierpliwie ani razu, a z uderzeniem wpół do ósmej, siedzieli już wszyscy w teatrze.

Jakże ją tu wszystko zachwycało! I światła, i łoże, i tłumy osób, orkiestra grająca wstęp do oczekiwanego przedstawienia; nie wiedziała na co patrzeć. Wreszcie

serduszko zabiło jej jeszcze silniej; podniesiono kurtynę... Cóż to za prześliczny ten balecik!... Ten olbrzymi sklep z samemi zabawkami, te całe rzędy pajaców, zwierzątek, poustawianych na półkach, lalek, od małych do najpiękniejszych, z których wiele za nakręceniem same tańczą, biegają, grają na gitarze, a wreszcie ta jedna ślicznie ubrana wołająca: „papa! mama!” Jakież to urocze! Halinka nie wiedziała doprawdy jak wyrazić rodzicom swój zachwyt. Co chwila chwytła rękę mamy lub ojca i ścisnąc ją mocno, szeptała z zarumienioną buzią i pałającymi oczkami: Tatumiu, jakież to śliczne!

Nakoniec, z uderzeniem godz. 12-tej na scenie, ukazała się, oświetlona tysiącem kolorowych ogników, wspaniała, cała w złocie, „Wieszczka lalek”. Na skinienie jej ręki ze wszystkich półek i podstaw poczęły zstępować nieruchome dotąd lalki, z innych stron zbiegły się najrozmaitsze zabawki, gry, zwierzątka, i wszystko to na czarodziejski rozkaz swej wieszczki, rozpoczęło fantastyczny pochód i taniec.

Halinka nie wierzyła swoim oczom.

— Jakto mam, więc to wszystko było żywe?— pytała — więc to nie były prawdziwe lalki i zabawki?

Naprzemián mama i tatuś tłumaczyli jej, że w istocie wszystkie te laleczki były to poprzebierane dziewczynki, które nauczono, i to z niemałym trudem, tańczyć tak ładnie i zgodnie. Z początku wierzyć jej się w to nie chciało, kiedy jednak przekonała się, że nie należy nigdy wątpić o tem co mówią starsi, bo dostrzegła sama jak lalki tańcząc śmieją się do siebie i mrugają oczami, tak była zachwyconą ich tańcem i sukienkami, że co chwila wołała: — Ach mam, jakbym ja chciała być taką laleczką... Jak im tam wesoło być musi tak bawić się razem i tańczyć przy muzyce. A jak ślicznie ubrane!

— No i którą tak na przykład chciałabyś być laleczką, Halinko? — zapytał, śmiejąc się tatuś.

— Którą, o tą, tą, w tej niebieskiej sukience, tatuś — wołała z zapałem dziewczynka. — Albo nie — poprawiała się, ujrawszy inną. — O tą, chciałabym być, ubraną w czerwoną sukienkę i mak polny na główce...

Ale i tym razem zmieniała wybór; znalazła jeszcze pośród tańczących wiele takich, którym zazdrościła zabawy i sukienek, aż wreszcie ujrzała jedną i ta już ją zachwycała do końca przedstawienia. Była to śliczna, blada laleczka z czarnymi włoskami, w stroju hiszpanki z małym bębenkiem w ręce. Ta Halusi podobała się tak bardzo, że wracając dorożką do domu, miała ją jeszcze wciąż przad oczami. Jechała więc w milczeniu, przytulona do rodziców, a w główce wirowały jej nieustannie pary strojne, wesołe i uśmiechnięte. Nagle tatuś przerwał tę jej zadumę.

— Cóż dziecinko, czy wciąż zachwyconą jesteś tą swoją małą hiszpanką, i czy chciałabyś jeszcze być na jej miejscu?

— O tak tatuś! odparła rozmarzona — ale dlaczego mnie o to pytasz?

— Bo dziwnie właśnie się składa córeczko, i jeżeliś ciekawa to powiem ci o niej coś więcej. W tych dniach Halinko, przyszedł do mnie do biura jeden biedny, bardzo biedny człowiek. Był pomimo mrozu odziany w leźnie zniszczone palto, i nie miał jednej nogi, którą mu niedawno odjęto, po ciężkiej przebytej chorobie. Wspierał się jedną ręką na lasce, a drugą o ramię dziewczynki, swej kilkunastoletniej córki. Błagał mnie na wszystko o jakąś pracę, któraby dała kawałek chleba jemu i jego dwojgu dzieciom nie mającym już od lat kilku matki. Mieszkają na poddaszu i marzną w mrozy, a dzieci są wciąż głodne. Starsza dziewczynka chodzi do szkoły baletu, ale nic jeszcze nie zarabia, a sześciolatek chłopczyzna płacze tymczasem, wołając jeść. Ta dziewczynka to twoja Hiszpanka, poznałem ją...

Zajechali przed dom, więc tatuś urwał opowiadanie, a kiedy w chwilę potem Halinka podziękowawszy raz jeszcze rodzicom za sprawioną przyjemność znalazła się w swoim małym, białym łóżeczku, jakiś żal wstrząsnął jej serduszkami do samej głębi. Rozejrzała się po dużym, ciepłym sypialnym pokoju, gdzie na stole paliła się przyćmiona nocna lampka. Obok jej łóżeczka stało drugie, większe, na którym obok niej sypiała mateczka. Niech tylko poruszy się w nocy albo odezwie, już jest tuż przy niej, a i teraz oto chodzi cichutko uściskawszy ją i poze-

gnawszy na dobranoc jej główkę. A była już chwila kiedy ona, Halinka, zamieniłaby była swoją dolę na przebraną laleczkę, która przy taktach hucznej muzyki ładnie tańczy... O mój Boże!...

I dziewczynka zamknęła zmęczone patrzeniem oczka a w wyobraźni stanęła jej pusta izba poddasza, gdzie dzieci drżące z chłodu wołają chleba, a stroskany, chory ojciec prosi Boga o siły i pracę, by to wołanie zagłuszyć.

...Halinka śpi, ale na jej poduszce zostały dwie mokre plamki, jakby od łez...

V. Cairo.

ŁAMIGŁÓWKA.

Przyjechał raz z miasta dziadzio,
Przywitał się z Jasiem, z Władzią,
I powiada: Dla was w darze,
Coś przywiozłem, wnet pokażę.
Wiecie co to, moi mili?
Pyta, dając dar po chwili
— ŁamigłóWka, pomyśl świeży,
Ułożywszy jak należy,
Zobaczycie coś ładnego,
Tu obrazki są do tego,
I te służą za wskazówkę. —
Biorą dzieci łamigłóWkę,
Kaźde coś próbuje, kładzie,
Lecz to bawi tylko Władzię,
Jaś dowodzi, że zatrudne,
To ni owo, dziwne, nudne,
Dojść — zupełnie nie ciekawy,
Innej szuka już zabawy.
Władzia za to wciąż układa,
Wyjść coś musi, trudna rada!
— Tamto z tamtem, to z tem może,
Dobierze się, i ułożę —
I kawałki się dobrały,
Jest widoczek!... a wspaniały!
— Ślicznie mi się ułożyło,
Aż popatrzeć teraz miło!
Mówi ucieszona Władka,
Idąc z pracą swą do dziadka. —
— Doskonale, moja mała!
Troszkę trudu — ot! rzecz cała!
No, a Jaś układa ładnie?
Dobry dziadzio znów zagadnie.
Czy też bawi łamigłóWka?
Odpowiedzi ani słówka.
Bo cokolwiek wstyd Jasiowi.
— Nie mogę dojść — wreszcie powie.
— Brak ci chłopcze do składania
Cierpliwości i wytrwania,
A bez cnót tych, moje dziecie,
Zawsze ludziom gorzej w świecie.

H. B.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Dziękuję — rzekłam — w takim razie, czem innym zajęty, wcale uważać nie będziesz.

— Zobaczysz jak pilnie będę słuchał — upewniał Tomcio z przymileniem.

Widząc, że Józio ma już ochotę się dąsać, a Tomcio z nim się przekomarzać, zaczęłam, nie ociągając się dłużej.

— Jest to historia wydarzenia, które się przytrafiło chrzestnej matce naszej mamy, kiedy była małą.

— Kiedy mama była małą? — spytał Tomcio.

— Jakieżś ty niemądry! — zawołałam mimo woli.

Oczywiście nie mogliśmy trzech słów bez sprzeczki zamienić; chcąc złe wrażenie zatrzeć, dodałam spiesźnie:

— Nie zważaj Tomciu na to, com powiedziała, niegrzeczny wyraz wymknął mi się przez nieuwagę. Chciej zrozumieć o co chodzi: każdy ma ojca i matkę chrzestną, a chrzestna naszej matki miała imię Maryi, tak jak i mama, i kiedyś była także małą dziewczynką. Była ona na pół francuzką na pół angielską. Mając lat pięć czy sześć mała Marynia pojechała do swojej babci do Francyi...

— To ona nie mieszkała we Francyi? zdawało mi się, iż powiedziałaś, że była francuzką.

— Nie, matka jej była francuzką, a ojciec angikiem, mieszkała w Anglii. Otóż pojechała ona pewnego razu do swojej babci do miasta starego, starego jak...

Szukałam odpowiedniego porównania.

— Starego jak dwadzieścia babek razem wziętych — odpowiedział Józio.

Ogromnie nas ubawiło to określenie. Po chwili wróciłam do opowiadania:

— Wszystkie kościoły i domy w tem mieście podobne były do starożytnych zamków, miały mury grube i czerniałe. Co rok o pewnym czasie odbywał się tam jarmark. Stawiano drewniane kramy, w których roztasowywali się kupcy wszelkich narodowości, nie wyłączając nawet Turków i Chińczyków.

Znajdowały się też na placu jarmarcznym: menażerye, karuzele, różne gry, cyrki, pajace, słowem mnóstwo osobliwości. Marynia przepadała za temi rozrywkami, i zwykle wydawała na nie wszystkie swoje pieniądze. Pewnego razu rodzice Maryni przysłali jej pięć franków; zaraz Marynia poczęła się napraszać, żeby ją babcia poprowadziła na jarmark. Wyobraźcie sobie panienkę ubraną podług ówczesnej mody w wąską sukienkę, szeroką kryzę i pasek podchodzący pod pachy. Mimo tak dziwnego stroju była bardzo ładna, główka jej pokryta bujnymi, do ziemi prawie sięgającymi lokami i świeża buzia każdemu się podobała. Gdy już kupiła śliczny z różnokolorowej słomy koszyczek i nachodziła się do woli między sklepami i kramami, babcia zaczęła nawoływać do powrotu, trzeba było przejść przez obszerny plac,

na którym tłoczyło się mnóstwo osób. Marynia puściła rękę bony, chcąc się przyłączyć do babuni, która je o parę kroków wyprzedzała, zesłała jednak trochę na bok, aby się przypatrzeć sztukom pokazywanym przez mądrego psa i tłum ją w ten sposób oddalił. Nikt się o nią nie troszczył, bona nie zauważyła jej oddalenia, a babunia sądziła, że jest pod opieką swej dozorczyńni. Ona tymczasem stała ubawiona widokiem uczonego psa, który przebrany za pazia kłaniał się przechodniom.

— Och! co za pyszne złote włosy — odezwał się głos za nią — jaka śliczna panienska!

Obróciła się, pochwała pochodziła z ust cyganki, hiszpanki, z czarnymi jak węgiel włosami. Marynię w podziw wprowadziła jej czerwona spódniczka, aksamitny gorset przybrany galonem i mała czapeczka, poszyta złotymi cekinami.

— Mam u siebie — rozповідаła hiszpanka — dwa małe pieski, umieją tańczyć z sobą walca, przygrywa im kręcąc korbą małpka. Może panienska pójdzie je zobaczyć?

— Chętnie — odpowiedziała Marynia, idąc za nią między namioty, gdzie publiczność niezwykła była uczęszczać. Nie chciała wziąć cyganki za rękę, zauważywszy, że ma ręce brudne, szła za nią w pewnej odległości, gdyż małe jej nóżki nie mogły nadążyć za spieszącą przewodniczką.

Nagle Marynia usłyszała ryk, jak gdyby z pod ziemi się wydobywający. Był to ryk lwa...

— Ach! Zosiu — zawołał Józio, kryjąc twarz na moich kolanach — nie opowiadaj historii o lwach, bo ja się boję...

— Jak można być takim tchórzem — upominał Tomcio — skoro, jak wiemy, mała Marynia wyrosła na piękną panią, to oczywiście lew jej nie połknął.

Po tej przerwie opowiadałam dalej:

— Marynia nie była wcale odważniejsza od Józia, gdyż usłyszawszy ten straszny ryk, sądziła, że lew rzuci się na nią i coprędzej uciekła. Możecie sobie wyobrazić złość cyganki, gdy obróciwszy się nie zobaczyła Maryni.

(d. c. n.)

LAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ułożył Jeździec dla Myśliwego.

1. Spółgłoska.
2. Mieszkania pewnych owadów.
3. Ptak krajowy.
4. Współczesny, angielski podróżnik.
5.
6. Rzemieślnik.
7. Zwierzę domowe.
8. Wykrzyknik.
9. Spółgłoska.

Litery pionowe powinny złożyć nazwisko poety z XVII wieku, poziome zaś poety z początku naszego stulecia.

S Z A R A D A.

E. L.

Pierwsze z trzecim, choć długie, na tej Bożej ziemi,
Płyną korytem czasu, jedno za drugim
Drugie z trzecim, choć ciepła wielkiego nie wzniecą,
Przecież na żar rzucone jasnym blaskiem świecą.
Wszystkie, lubo nie ptaki, na drzew szczytach żyją,
Gdzie swe gniazda rodzinne i zapasy kryją.

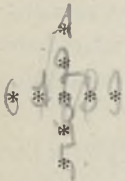
KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Stefan B.

a	a	o	Zabawa lub kloc drzewa.
a	b	o	Miasto w Finlandyi.
ł	l	t	Imię biblijne lub dopływ Garony.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

Jan Sz.



W miejsce krzyżyków rozłożyć liczby: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, w ten sposób, aby suma w kierunku poziomym jak pionowym wypadła taż sama.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Szarady: (Kra — wa — ty). Kra, waty, kraty.

Łamigłównki w kratkach:

F a r a o n
K r a k ó w
W i e l k i
G r o d n o
P o k o r a
W o j s k o

Łamigłównki kropkowanej:

Trzech rzeczy człowiek nigdy nie żałuje,
Gdy rano wstaje, milczy, roboty pilnuje.

Wytrwałość i praca,
Człowieka zbogaca.

Skrzynka do listów.

Wszystkich czytelników naszych, zwracających się do Redakcji z jakimkolwiek żądaniem, prosimy aby w listach podawali dokładny swój adres, odszukiwanie bowiem utrudnia i opóźnia spełnienie ich poleceń, prosimy również, aby dostatecznie markowali swoje listy, Redakcja bowiem podwójnie za karę pocztę opła-

cać musi. Przypominamy także, aby nagrodzeni na ostatnim konkursie zgłaszali się do Redakcji po swoje nagrody.

Do rzędu wyjątkowo szczęśliwych dzieci należysz **Żabko Terowska**, skoro Mama twoja, nie potrzebując pomocy obcych osób sama naukami twemi kierować może; o ileż nauka owa łatwiejszą, przyjemniejszą bywa, gdy nam płynie z ukochanych ust rodzicielskich! Z drugiej strony jednak obowiązana jesteś do większej jeszcze pilności i uwagi, aby nie wystawiać na daremne trudy i nie narażać na bezowocną pracę drogiej mateczki twojej. Powiadasz że mając wrodzoną łatwość do muzyki i do rzeźby, brak ci potrzebnej cierpliwości do rozwinięcia tych talentów. Powinnaś pamiętać, że największe artystyczne zdolności nie zwalniają od wytrwałej pracy, a przeciwnie im rzeczycywszy talent, tem gruntowniejszą podstawą zasad teoretycznych dać mu wypadają. Pracuj tedy wytrwale, kochana Żabko, nie marnuj darów Bożych, iżbyś w przyszłości dla siebie i dla drugich pożyteczną stać się mogła. O umiejętnym kierunku pedagogicznym Mamy twojej mamy jak najlepsze wyobrażenie przez sam fakt, że za nieporządne utrzymywanie „Wieczorów” byłaś przez czas dłuższy ich pozbawioną; dobry skutek tego postępowania spostrzegłaś sama, skoro już teraz umiesz się obchodzić z pismami, pod twoją oddanemi opieką. Jaskółka o której osobistość zapytujesz, prawdopodobnie niema więcej podobieństwa do ptaszka, którego nosi nazwę, jak ty do skrzeczącej żabki, powiedzieć możemy o niej tylko jeszcze, że jest chętnie oddana na usługi młodych czytelników „Wieczorów.”

Dzieliwszy się z czytelnikami naszymi treścią liściku, odebranego w tych czasach, sądząc, że równie miła na nich jak na nas wywrze wrażenie. „W dniu moich imienin, pisze **Mania z Kaługi**, 2-go zeszłego miesiąca, pragnę zrobić sobie przyjemność i zaoszczędzonego z wydatków rubla jednego posyłam dla biednych dzieci.” Bodajby takich serduszek, szukających własnej przyjemności w świadczeniu drugim dobrego i takich solenizantek, obchodzących w ten sposób imieniny swoje, jak najwięcej mnożyło się na świecie!

Żądane początek powieści „Dla szczęścia rodziny” **Maryi L.** przesłaaliśmy.

Mamy obecnie takie mnóstwo zadań, logogryfów i szarad, że nie jesteśmy w możności połowy ich naraz umieścić. Autorzy przeto muszą być wyrozumiali, że w wyborze i ogłaszaniu ich prac, pewna właściwa kolej zachowana być musi. Zadania takie nadesłali obecnie: **Wróbelek**, **Juliusz W.**, **Szymon B.**, **Kazimierz P. Gołąb** z nad **Zdwyża**, **Myśliwy** i **Jeździec**.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: **Stefania K.**, **Szymon B.**, **Sabinka D.**, **Opteo Tuljo**, **Myśliwy**, **Juliusz W.**, **Jeździec**, **Wróbelek** i **Stefcia D.**, która nadto starannem i czytelnem skreśliła je pismem.

Od Redakcji.

Przy kończącym się kwartale przypominamy odnowienie prenumeraty na

„WIECZORY RODZINNE,”

które pod tymi samymi co dotąd warunkami wychodzić będą

Prenumerata wynosi: w **Warszawie** rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na **provincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — W **Lwowie** i **Krakowie** kwartalnie złr. 2. — W **Poznaniu** kwartalnie mar. 3.

„KRONIKA RODZINNA”

Pismo przeznaczone dla wszystkich członków rodziny.

W kwartale przyszłym wychodzić będzie w tymże samym kierunku i warunkach przedpłaty, *wynoszącej tyleż co i Wieczory Rodzinne*

Adres obu pism: Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.